

Teatr Rzeczpospolitej

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Wałbrzych to miasto legend. Złoty – jak ta o pociągu.
Ciemnych – jak z powieści Joanny Bator. I teatralnej.
Najżywszej i najprawdziwszej.**

J
EJ TWÓRCZYNIĄ JEST DANUTA MAROSZ – niekojarząca się wcześniej z progresywnym teatrem. A to właśnie ona objąwszy w 2002 r. dyrekcję Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego wprowadziła go szturmem do grona najważniejszych polskich scen i utrzymuje w nim do dziś.

Decydującą rolę odegrała umiejętność dobierania współpracowników. Już pierwszy wybór był niezwykle trafny: na stanowisko dyrektora artystycznego powołany został Piotr Kruszczyński, który uczynił z wałbrzyskiej sceny miejsce debiutów i pierwszych wielkich sukcesów reżyserów i reżyserów mających wkrótce decydować o kształcie rodzimego życia teatralnego. Maja Kleczewska („Lot nad kukułczym gniazdem”, 2002; „Czyż nie dobija się koni”, 2003), Jan Klata („Rewizor”, 2003; „...córką Fizdejki”, 2004) i sam Kruszczyński, swoimi inscenizacjami budujący wyjątkową pozycję dramatów Michała Walczaka („Piaskownica”, 2003; „Kopalnia”, 2004), sprawili, że teatr wcześniej niemal modelowo prowincjonalny stał się jednym z najważniejszych w kraju. Wkrótce do tego grona dołączył duet Monika Strzępka i Paweł Demirski, który tu wystawił kilka swoich najgłośniejszych przedstawień, poczynawszy od „Był sobie POLAK POLAK POLAK i diabeł” (2007), przez „Niech żyje wojna” (2009), po „Był sobie Andrzej Andrzej Andrzej i Andrzej” (2010).

„Tu jest Polska”

Wałbrzych stał się celem wypraw przybyłych z kulturalnych metropolii, a niedługo legendą. „Okazało się (...) – pisze w wydanej niedawno książce „Demokracja. Przedstawienia” Joanna Krakowska – że »tu jest Polska« i że prezentuje się raczej kiepsko, że istnieje szereg problemów, o których się nie mówi w Warszawie, że diagnoza życia społecznego przedstawiana z perspektywy Wałbrzycha pozwala zrozumieć

o wiele lepiej i wyniki kolejnych wyborów, i sondaże opinii publicznej”.

Ale nie tylko dlatego Krakowska pisze o Wałbrzychu jako o stolicy teatru krytycznego. Wielką rolę odegrały też kwestie artystyczne: „To właśnie w Wałbrzychu wypracowano i przećwiczono strategie artystyczne, które pozwoliły nie tylko na zrewolucjonizowanie dramaturgii – wprowadzenie w obieg nowego gatunku: »tekstu dla teatru« – ale także stworzenie nowego typu aktorstwa, którego wiarygodność nie została wyprowadzona ani z »przeżywania«, ani z finezyjnych technik, lecz z pracy zespołowej”.

Gdy w 2008 r. Kruszczyński odszedł, a jego miejsce zajął Sebastian Majewski, zwykle w chwilach takich zmian obawy szybko zniknęły. Przybył za to kolejny element legendy: płynne i bezkonfliktowe zmiany kierownictwa artystycznego zapewniające pożądaną różnorodność, ale nie wywołujące groźnych wstrząsów.

Majewski (wcześniej już współpracujący z Teatrem) kontynuował politykę Kruszczyńskiego, zapraszając młodych obiecujących artystów (m.in. Krzysztof Garbaczewski, Weronika Szczawińska, Bartosz Frąckowiak, Radosław Rychcik, Jolanta Janiczak, Wiktor Rubin, Michał Borczuch), a jednocześnie wprowadzał własne innowacje, takie jak sezony tematyczne i wyjście poza tematy lokalne. Kolejni kierownicy artystyczni (Piotr Ratajczak, 2013-15; Maciej Podstawny 2015-18) zmieniali nieco kierunek i charakter propozycji teatralnych, zapraszali nowych współpracowników (m.in. Michał Kmiecik, Wojtek Ziemilski, Ewelina Marciniak, Aneta Groszyńska, Cezary Tomaszewski), ale linia i poziom teatru zostały zachowane.

Ulicą Wajdy

W Wałbrzychu nie byłem bardzo dawno. Gdy ciągnęły tu pielgrzymki teatralne z Krakowa, mnie ciągnęły inne sprawy ➔

→ i inne miejsca. Wiele głośnych wcześniej przedstawień widziałem na występach gościnnych, a choć mimowolnie (i sam już nie wiem jak) stałem się postacią przywoływaną intensywnie w jednym z nich, to gdy Sebastian Majewski, ponownie kierujący artystycznie Szaniawskim od początku obecnego sezonu, witał mnie w *foyer*, niemal odruchowo użył słowa „wreszcie”. W Wałbrzychu rzeczywiście spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Zanim poszedłem do teatru, powłóczyłem się trochę po mieście. Zaskakująco puste jak na piątkowe popołudnie ulice Śródmieścia spokojnie odsłaniały miejskie kontrasty. Radośnie pastelowe fasady i ciemne tunele wjazdów i podwórek. Uporządkowane i obsadzone kwiatami place i martwe budynki. Na ławce przed szkołą może dziewięcioletni chłopiec słucha gniewnego rapu z huczącego na cały regulator smartfona; gdy go mijam, podnosi wyzywająco głowę, jakby liczył na interwencję. Ta sama muzyka gniewu, frustracji i walki o siebie dobiega z otwartych okien, nawet jeśli wychylają się z nich klasycznie otyli mężczyźni w klasycznie siatkowych podkoszulkach, i ze stojącego nieco dalej drogiego czerwonego samochodu, do którego zaglądają dwaj mężczyźni w mocno znieświeżonych ubraniach i z nieodłącznymi butelkami z browarem w łapach.

Idę i czuję, że każdą swoją obserwacją wpisuję się w legendę, w którą wcale wpisywać bym się nie chciał. Bo co ja wiem o tym mieście? O jego mieszkańcach? Ich życiu? Jakim prawem cokolwiek o nich mówię na podstawie godzinnego spaceru kilkoma śródmiejskimi ulicami i cudzych opinii, cudzych wspomnień, cudzych fantazji? Prawem powierzchownych wrażeń przyjezdnego widza, które mimo wszystko budują wyobrażenia o każdym z odwiedzanych miejsc? Prawem pochodzenia z podobnego miasta zniszczonego przemysłu i korzeni wyrwanych z łatwością, bo zapuszczono je nie głębiej niż na jedno pokolenie?

Uprawnienia słabe, ale mechanizm kolonizującego i oceniającego spojrzenia działa nieuchronnie, wytwarzając błyskawicznie poczucie niezwykłości miasta, ukrytego i jakby przyczajonego w wąskich dolinach. Wałbrzych zdaje się wystawiać swoją złożoność i jednocześnie ukrywać to, co najważniejsze, co nie zależy ani od dramatycznej historii, ani od estetycznej kakofonii. Jeśli rzeczywiście „tu jest Pol-

ska”, to w moim odczuciu nie tylko dlatego, że Wałbrzych tak modelowo kontrastuje z Warszawą, lecz raczej dlatego, że tu może mocniej czuje się, że „w Polsce, czyli nigdzie” za odpacykowanymi fasadami kamienic i za obdartymi podwórkami na ich tyłach jest coś jeszcze – jakiś fantastyczny skarb, misja, cel; złoty pociąg jadący na Utopię.

Do teatru idę ulicą Andrzeja Wajdy, nazwaną tak niedawno, po dekomunizacji poprzedniego patrona. W głowie myśl o ironii historii, która w tym właśnie miejscu upamiętniła fakt, że był sobie Andrzej. Po prawej modnie kremowe ściany z europejskich funduszy. Po lewej plac na tyłach fabryki porcelany. Za rogiem – wyspa: amfiteatr wbudowany w plac przed Teatrem im. Szaniawskiego. Okalające go lampy rzucają ekologicznie pomarańczowe światło. Na ławkach wokół czekający na przedstawienie widzowie, a w centrum grupki młodzieży. Dziewczyny w wiankach z różowych kwiatów i chłopaki w żółto-słomianych kapeluszach robią sobie *selfie*. Na scenie inna grupka, pali papierosy i słucha rapu. Dudniący rytm miesza się z soundtrackiem wytwarzanym przez pierwszą grupkę. „*Sweet dreams are made of this...*”. „*Whom am I to disagree?*” – dośpiewuję w myślach i wchodzę do teatru.

Jestem w twojej głowie

Przedstawienie „teraz każdy z was jest rzeczpospolitą”, którego wałbrzyska premiera odbyła się 26 kwietnia, to koprodukcja Teatru im. Szaniawskiego i Wrocławskiego Teatru Współczesnego. Wiem to, ale zarazem przedstawienie wydaje mi się szczególnie wałbrzyskie. Nie dlatego, że jest niemal symbolicznym dla płynnego przekazywania władzy efektem współpracy obecnego i poprzedniego kierownika artystycznego, ale dlatego, że tekst Sebastiana Majewskiego wyreżyserowany przez Macieja Podstawnego niemal idealnie mieści się w niewielkiej sali pozbawionej wzniesionej estrady.

Gdy wychodząc po zakończeniu przechodzimy przez scenę do wąskich drzwi i depcemy rozrzucone na podłodze gałązki leszczyny, miedziaki i okruchy rozbitego talerza z wizerunkiem króla, stajemy się częścią tego męczącego groteskowego koszmaru, na który przed chwilą patrzyliśmy, łudząc się, że nie jesteśmy jego częścią. Nie wiem, czy gdzie indziej uda się osiągnąć ten efekt. A wręcz wątpię, by we Wrocławiu tak dojmująca była granica

między oświetloną europejskim światłem wyspą teatru i morzem polskiego miasta.

Tekst pilgrima/majewskiego (bo tak podpisuje się jego autor) wykorzystuje kilka wątków z głośnego „Diabła” Andrzeja Żuławskiego. Najważniejsze z nich to kontekst historyczny – upadek Polski po drugim rozbiórze, oraz główny bohater: Jakub (Wojciech Świeściak), niedoszły królobójca, polski bohater romantyczny, opowiadający słowami Kordiana swój niedokonany zamach na Stanisława Augusta. U Żuławskiego z więzienia uwalniał go tytułowy Diabeł, by opętawszy zamienić w narzędzie rzezi. U Majewskiego Jakuba kupuje szef wędrownego trupy Wiktor Ryks (Dariusz Skowroński).

Królobójca staje się kolejną atrakcją *freak show* Ryksa: obok kobiety ze słonowatą stopą (Jolanta Solarz-Szwed), mężczyzny z dwiema głowami (Rafał Kosowski), Żyda-hermafrodyty (Mariusz Bąkowski) i nieodzownej gwiazdy, dyrektorki (Elżbieta Golińska), pojawia się modelowo niespełniony Bohater Polaków. W trupie są też Zakonnica (Irena Sierakowska)





BARTEK WARZECHA

„teraz każdy z was jest republiką”, Teatr im. Szaniawskiego, Wałbrzych

i Kaznodzieja (Tadeusz Ratuszniak), szczególnie interesujący się Jakubem. Kaznodzieja to przetworzony Diabeł, który stracił swoją jednoznaczność i nie ma już dla podopiecznego żadnej misji poza domaganiem się, by wreszcie coś zrobił, choćby miało to być zabicie jego samego. W tym nakazie działania ma drapieżność Jarosława Marka Rymkiewicza z „Wieszania”, żalującego, że Polska wielkiej katastrofy końca XVIII wieku nie dokonała założycielskiego mordu, nadającego jej jakiś kształt określony.

Wałbrzyski spektakl to koszmarna, groteskowa, brutalna, wulgarna i poetycka jednocześnie rewia braku takowego kształtu. W powracających korowodach, zderzaniu niskiego z wysokim, bioobiektowości postaci i żałości bolesnej grotesce przypomina teatr Tadeusza Kantora. Ale nie ma tu żadnych momentów piękna i wzniosłości „pomimo”, żadnych „biednych mszy”. Pieśni religijne i patriotyczne pojawiają się sfalszowane i zgwałcone jak wisielec w mundurze żołnierza polskiego z doczepionym (jakże kantorowskim!)

wielkim fallusem. Kolejne „numery” budzą na nowo odruchowe oczekiwanie jakiegoś dramaturgicznego zwrotu, który rozświetli i przekształci cały ten koszmar.

Ale nadzieja (którą nawet Kantor wszak zaspokajał) pozostaje płonna. Żaden emocjonalny wicher nie porwie nas i nie ukoł afektowanym efektem kiczu. Kolejne 52 tygodnie scenicznego roku przejdą w jednostajnym rytmie zrywanych płacht z ich numerami i nic, nawet narodziny i śmierć, nie przerwą uporczywej wędrówki Ryksowej trupy potworków.

Przedstawienie Majewskiego i Podstawnego jest obrazoburcze, bluźniercze, męczące i bolesne, ale nie akcentuje tego, nie wydaje się drapieżnie atakować narodowych świętości. Zapewne może wywołać czyjeś oburzenie, ale nie sprawia wrażenia, że tego by chciało. I właśnie w tej swojej paradoksalnej zwyczajności, w tym jakimś własnym zmęczeniu wydaje się szczególnie dotkliwie i nieprzyjemne. Za legendową fasadą rozbijaną jak kartonowa ściana domu Jakuba nie ma złotej legendy. Są śmieci i odpadki.

To przedstawienie jest jak podniesienie leżącego długo na ziemi głazu, pod którym wiją się odsłonięte nagle robaki, przegniłe korzenie i obrzydliwie nagie młode pędy. Na scenie kłębi się teatr antymonumentalny.

Nierozstrzygnięcie

W „Demokracji. Przedstawieniach” Krakowska pisze o Wałbrzychu w części poświęconej teatrowi krytycznemu, opisując go jako jego stolicę, by zaraz w następnym podrozdziale zdiagnozować jego koniec. Jeśli diagnoza jest prawdziwa, to upaść musiała też stolica, bo przecież nie sposób być stolicą czegoś, czego nie ma.

Krakowska za jedno ze znamion końca uznaje „aprioryczną aprobatę” ze strony widzów, którzy nauczyli się, że to, co wcześniej wydawało się obrazoburcze i skandaliczne, trzeba akceptować, najpierw jako współcześnie atrakcyjne i dowodzące bycia „na fali”, a potem – by nie znaleźć się w niechcianym towarzystwie cenzorów i „ciemniaków”. Pewnie ma słuszość, bo „przekonywania przekonanych” i „zakładanej solidarności” mamy w polskim teatrze aż za dużo.

Z drugiej strony, gdy obserwuję premierową publiczność wałbrzyską wychodzącą z teatru, nie mam poczucia, że jestem w jakimś środowiskowym kółku wzajemnej adoracji. Nie wydaje mi się, że można opisać jej reakcję w opozycyjnych kategoriach oburzenia i ślepej akceptacji, prowokacji i bezwarunkowej kapitulacji w imię lokalnego patriotyzmu lub opozycyjnej elitarności. Nawet jeśli strategie i język „teatru krytycznego” zostały przyswojone i oswojone, to nie wydaje się, by teatr wałbrzyski miał zamiar rezygnować z pracy nad nimi i budowania przy ich pomocy procesu autorefleksji.

Na plakacie autorstwa Mirka Kaczmarka małpa w peruce wskazuje paluchem na patrzących: „teraz każdy z was jest Republiką”. Jednak ta tytułowa fraza nie pada w przedstawieniu. Dopada mnie za to, gdy spektakl się kończy. Oskarżenie czy wyzwanie? Nie potrafię rozstrzygnąć. Idę z nierozstrzygnięciem przez nierozstrzygnięty Wałbrzych. Pokoje gościnne, gdzie nocuję, nazywają się Konrad. Z okna widać neon McDrive’a. W pociągu, którym nazajutrz rano wracam, ekrany zachęcają do wywieszania flagi i zapraszają na trzeciomajową defiladę ministra Błaszczaka.

© DARIUSZ KOSIŃSKI